

Konrad Turzyński

O nostalgii post-PRL-owskiej



"Opcja na Prawo" nr 9(81) z września 2008 r., str. 4-8

<http://www.opcjanaprawo.pl/index.php/rec/item/870-o-nostalgii-post-prl-owskiej>



<http://swkatowice.forumoteka.pl/temat,6148,o-nostalgii-post-prl-owskiej,strona,0.html>

Kto pamięta przestrogi Heyd'la?

Niedawno (ARR, *"Dopłaty do eksportu wieprzowiny na Ukrainę obowiązują!"*, 18 kwietnia 2008 r.; <http://www.ppr.pl/artukul.php?id=146558>) prezes Agencji Rynku Rolnego Bogdan Twarowski uzyskał zapewnienie, że Polska nadal będzie dopłacać do eksportu wieprzowiny na Ukrainę. Co by o tym nie myśleć, jest to swoiste *curiosum*. Najżyźniejszy kraj na świecie importuje żywność! I jeszcze eksporter musi mu to ułatwić — my wszyscy w Polsce, jako podatnicy, musimy składać się na to, aby zapłacić część ceny, bowiem ukraińskiego klienta nie stać na płacenie pełnej ceny. Gdzie te czasy, kiedy to eksport żywności z Polski w kierunku wschodnim był traktowany jako coś, co było podwójnie

szkodliwe: 1/ uszczuplało ilość żywności dostępną w polskich sklepach dla klientów (to doskwierało ogółowi mieszkańców naszego kraju), 2/ było nieopłacalne, gdyż **sowiecki** nabywca płacił tyle, ile chciał, czyli niewiele (to doskwierało chyba jednak głównie polskim rolnikom — indywidualnym i nie tylko), no, pytam: gdzie te czasy?! Osoba obecnego prezesa ARR budzi jednak także zupełnie inne emocje. Pewna część podległych jemu urzędników poskarżyła się na niego do min. Julii Pitery. Julia Pitera jest od pewnego czasu politykiem **Platformy Obywatelskiej**, zaś Bogdan Twarowski zajmuje swoją posadę z rekomendacji **Polskiego Stronnictwa Ludowego**, tak więc rozstrzygnięcie sporu może wystawić na próbę koalicję rządową, co akurat nie jest w Polsce lat ostatnich niczym oryginalnym, zwłaszcza, gdy chodzi o koalicję z udziałem **PSL**. Tym zresztą niech się martwią koalicjanci, bez mojego udziału. Zarzuty pod adresem prezesa ARR dotyczą *"wykorzystywania stanowiska dla własnych korzyści i gnębienia pracowników"*, podobno odwołał większość dyrektorów oddziałów terenowych Agencji, podobno również jako urzędnik narusza prawo, bo *"zasiada w radach nadzorczych trzech spółek"* i jeszcze bierze za to niemałe pieniądze. (PAP, *"Ja prezes — niszczy Agencję"*, 8 kwietnia 2008 r.; <<http://www.ppr.pl/arttykul.php?id=146198>>). Jeśli to prawda, to jest to naganne, w każdym razie brać (zwłaszcza spore) pieniądze za samo zasiadanie... no, nieładnie. *"Chodzi o spółkę państwową Elewarr, która należy do ARR, i jej dwie spółki-córki."* Już sama nazwa "spółka państwowa" to coś takiego jak "bezdietna matka" albo "sucha woda". Im więcej jest takich spółek, tym jest więcej posad do obdzielenia swoim koleśiom po każdych wyborach! Mimo tak długotrwałego i donośnego lamentu z powodu prywatyzacji (= *"wyprzedaży majątku narodowego"*) posad w takich radach nadzorczych nadal jest sporo, a śmiem podejrzewać, że może nawet ich przybywa, skoro bowiem ARR jest nową instytucją, to zapewne spółka Elewarr nie jest przemianowaną firmą z czasów **PRL**, lecz stanowi również nowo-twór czasu transformacji.

Czymże jednak zajmuje się legalnie prezes Twarowski? Kieruje instytucją, która... nie powinna istnieć! ARR *"zatrudnia ok. 1300 osób i zajmuje się rozdzielaniem limitów mleka między producentów, reguluje rynki rolne pod okiem Brukseli"* (tamże). Sama idea limitów jest już obrazą dla zdrowego rozsądku. Gdyby jeszcze chodziło o limity połowowe na pewnym poziomie rzeczywiście można by mówić o tym, czy zbyt obfite połowy nie spowodują wyginięcia danego gatunku ryb. Ale jeśli ktoś nie zajmuje się łowiectwem ani zbieractwem czegoś gotowego, lecz produkuje — obojętnie, czy to jest mleko, czy kapusta, czy zeszyty w kratkę, czy na przykład benzyna — byłby idiotą, gdyby produkował znacznie więcej, niż spodziewa się sprzedać. Tak było od tysięcy lat (powiedzmy szczerze: z kapustą, bo z benzyną znacznie krócej), a ustanowienie urzędników od wymyślania i egzekwowania limitów to nic innego niż tzw. **"radosna twórczość"**.

ARR *"reguluje rynki"*! Nie jakiś jeden rynek, ale rynki! W liczbie mnogiej (ciekawe, czy ktoś je policzył i wie, ile ich jest?). Dopóki za banknot, który trzymam w dłoni, mogę kupić nie tylko telefon komórkowy, ale także jabłka, nie tylko podręczniki dla dziecka, ale także obligacje państwowe, dopóty to wszystko jest JEDNYM rynkiem, jak system naczyń połączonych jest naprawdę JEDNYM naczyniem, o kształcie może dość dziwnym... Gdyby przywrócić jakieś bony, talony albo inaczej nazywające się środki płatnicze do specjalnych celów, np. na zakup samochodów (tak już było, pamiętam osobiście te czasy), to owszem, zgoda, istniałby jakiś odrębny "rynek samochodowy", jakiś odrębny rynek w PEWEX-ach (gdzie płaciliśmy dolarami, a nie ówczesnymi złotówkami). Skoro ktoś używa słowa "rynek" w liczbie mnogiej, od razu widać, że mu **socjalizm** z butów wychodzi. Niekoniecznie ten siermiężny **PRL**-owski (jak przysłowiowa słoma z butów), może być jak najbardziej salonowy, *"en vogue"* i *"au courant"*, przywieziony prościutko z Brukseli. Ale nawet regulowanie JEDYNEGO rynku jest podejrzane o tenże **socjalizm**: właśnie owe "limity",

"kwoty", dotacje do eksportu, tzw. "dotacje bezpośrednie" (to te unijne pieniądze, które rolnicy otrzymują w zależności od ilości uprawianych hektarów), dotacje do kolejnictwa...

Rolnika, rzecz jasna boli, gdy państwo dotuje PKP. Uważa, że to marnowanie społecznego pieniądza. Kolejarza boli, gdy państwo dotuje rolnika (teraz to wychodzi drożej, niż PRL-owskie dotacje mające obniżać ceny żywności, bowiem pieniądź wędruje najpierw do Brukseli jako składka członkowska z powodu przynależności Polski do UE, a dopiero potem wraca m. in. jako owa "dotacja bezpośrednia". Ale im dłuższa droga, tym jednak więcej ta wędrówka pieniędzy sama kosztuje!

Rolnika boli dopłacanie do kolei także z tego powodu, że rolnik coraz rzadziej podróżuje pociągiem (zresztą m. in. dlatego, że sieć czynnych linii kolejowych rozrzedza się z roku na rok a niekiedy części), a coraz częściej swoim samochodem. I niekoniecznie krajowej produkcji (to, że dzisiejszy wicepremier Pawlak będąc w przeszłości premierem apelował, aby podległe mu urzędy jako swoje samochody służbowe posiadały "Polonezy", a nie samochody zagranicznych marek, wydaje się nie robić wrażenia na rolnikach, nawet na tych, którzy sympatyzują z Pawlakiem i jego partią). Jednak młyny w Polsce mają kupować zboże od polskich rolników, a nie importowane. Jeśli jest inaczej, to rolnictwu dzieje się krzywda.

Nie byłbym zdziwiony, gdyby robotnicy zatrudnieni w polskich fabrykach wytwarzających samochody, albo ciągniki i maszyny rolnicze dokładnie tak samo (z zamianą ról) myśleli o gospodarce: mianowicie, że gdy rolnik kupuje kombajn z Białorusi albo samochód z Niemiec, to czyni polskiemu przemysłowi (czyli im) krzywdę. Gdyby zaś Polska dopłacała do eksportu np. "Polonezów", to oczywiście nie byłoby w tym nic złego...

Jeszcze bardziej niebezpieczny jest pomysł, ażeby przeznaczać pieniądze z budżetu państwa polskiego na dopłacanie do eksportu (aby cena polskiego towaru była sztucznie obniżona gwoźli większej konkurencyjności) albo na tzw. gwarancje eksportowe, na wypadek, gdyby zagraniczny nabywca polskich towarów okazał się niewypłacalny. Jest to krótkowzroczna, wręcz samobójcza strategia dla krajowej gospodarki, która na dłuższą metę nie zniosłaby tego obciążenia! Ktoś nie zarobi, by zarobić mógł ktoś. Pieniądze na dopłaty trzeba bowiem ściągnąć z podatników, inaczej to przecież nie jest możliwe. W latach międzywojennych (gdy chodziło o eksport cukru do Wielkiej Brytanii) przestrzegał przed takim dumpingiem ze strony Polski prof. Adam Heydel, wybitny ekonomista (a także prawnik). Wtedy, za sanacji, socjalizmu w Polsce było nie tak wiele, Heydel nazywał go łagodnym epitetem "etatyzm", to wszak nie to, co powojenna PRL. Jednak w oczach ludzi, których myślenie zostało ukształtowane w Polsce Ludowej (albo, co jeszcze gorzej: w Moskwie — jak w wypadku min. Lesława Podkańskiego, absolwenta tamtejszego Instytutu Przemysłu Naftowego i Gazowego), dotacja z budżetu do jakiegokolwiek dziedziny gospodarki stanowi "normalkę". Ale kto by dzisiaj słuchał rad Adama Heyd'la? Dla jednych jest trefny jako wolnorynkowiec, dla innych jako narodowiec, być może są też tacy, dla których prof. Heydel jest trefny z obu tych powodów na raz... Na pewno takimi byli narodowi socjaliści (ci niemieccy, hitlerowscy), którzy uwięzili Heyd'la w obozach koncentracyjnych w Sachsenhausen, a potem ponownie w Auschwitz — w tym drugim profesor, ku chwale narodowego socjalizmu, zakończył swoje 42-letnie życie.

Ale gdyby tak — przysłuchując się przekomarzaniom między polskimi rolnikami i polskimi robotnikami — jakiś anglista lub matematyk wpadł na pomysł, żeby domagać się, aby państwo ustanowiło taryfikator minimalnych stawek gwarantowanych za godzinę

korepetycji (z uwzględnieniem tego, czy usługa byłaby udzielana w domu korepetytora, czy w jeszcze innym, oraz na jakim poziomie byłaby świadczona: podstawowym gimnazjalnym, licealnym czy akademickim, może także z uwzględnieniem różnic między łatwymi i trudnymi dziedzinami wiedzy), co wtedy? Przecież bez takiego taryfikatora, bez zapewnienia, że nawet jeśli korepetytora ani jego rodziny nie stać na 50, a tylko na 20 zł/godz., to państwo te brakujące 30 zł. dopłaci (potrącając sobie zaraz potem 10 zł jako podatek), otóż bez tej interwencji państwa na rynku korepetycji krzywda dzieje się polskiej oświacie.

Na jamalskiej smyczy

Kilka miesięcy temu (w połowie grudnia 2007 r.) stacja telewizyjna TVN dostarczyła informacje o wypowiedziach dwóch kolejnych ministrów gospodarki w sprawie importu gazu ziemnego do Polski. Chodzi oczywiście o niedawnego ministra Piotra Woźniaka oraz o aktualnego ministra Waldemara Pawlaka. Powierzchnie wrażenie jest takie, że owe wypowiedzi kontrastują ze sobą nawzajem. Nie byłoby w tym nic bardzo zaskakującego — jesteśmy wszak przyzwyczajeni do tego, że gdy władzę przejęła konkurencyjna formacja, to aktualni ministrowie krytykują poprzednich i odwrotnie. Rozbieżność opinii między ex-min. Woźniakiem a min. Pawlakiem polega na tym, że zdaniem pierwszego, w imię dywersyfikacji, bardzo celowym byłoby importowanie gazu nie tylko z Rosji, lecz także z Norwegii, podczas gdy drugi przestrzega przed tym, że gaz z Norwegii okaże się droższy. Zdziwienie następuje dopiero, gdy dowiadujemy się, że — zdaniem obydwu polityków — zasadne byłoby powrócić do pomysłu gazociągu zwanego Amber (po angielsku: bursztyn), który miałby dostarczać na Zachód rosyjski gaz ziemny przez terytoria Estonii, Łotwy, Litwy i Polski. *"Pawlak powiedział, co wiedział, wiedząc jednocześnie, że usłyszy »niet« i »nein« [...]"* (por.: Wiesława Mazur, *"Gazoport na aut"*, **"Nasza Polska"**, nr 50 z 11 grudnia 2007 str. 8).

Co jeszcze dziwniejsze, zdaniem ex-min. Woźniaka nie jest słusznym pomysłem Adama Szejnfelda, polityka **PO**, aby rokować z Rosją na temat budowy II nitki gazociągu jamalskiego. Jakaż jest bowiem **istotna** różnica między ową drugą nitką, a gazociągiem Amber — zwłaszcza z punktu widzenia polityka (mowa o Piotrze Woźniaku), który uznaje zasadność dywersyfikacji zaopatrzenia Polski w gaz? Z kolei wicepremier Pawlak dostrzegł również zaletę w takim rozwiązaniu, aby umówić się z Rosją i Niemcami na zbudowanie odnogi od przyszłego gazociągu bałtyckiego ku Polsce. Natomiast jego opinia o zasadności importu gazu ziemnego z Norwegii jest trudna do oceny: czy należy podziwiać bardziej samą jej treść, czy wytrwałość pana Waldemara Pawlaka w opowiadaniu się za nią.

W dniu 18 lutego 1995 r., Waldemar Pawlak, będąc wtedy premierem Polski, zawarł z premierem Rosji Czernomyrdinem (który przed objęciem tej państwowej funkcji był prezesem rosyjskiego **GAZPROM-u**) porozumienie w sprawie gazociągu jamalskiego. Pierwsze porozumienie polsko-rosyjskie w tej sprawie zawarto 25 sierpnia 1993 r. Dokładnie w pół roku później, 18 sierpnia 1995 r., drugie porozumienie (to podpisane przez premiera Pawlaka) zostało zatwierdzone przez kolejnego premiera Józefa Oleksego, zaś jego następcą, premier Włodzimierz Cimoszewicz, zawarł z Rosjanami w dniu 25 września 1996 r. już tę ostateczną umowę.

Koalicja **SLD/PSL/UP** — głównie jednak jej **"socjaldemokratyczna"** frakcja! — przez całą kadencję 1993-97 wyrażała oburzenie z powodu podpisania w dniu 28 lipca 1993 r. konkordatu z Watykanem, a to dlatego, że dokonano tego bez możliwości bieżącej kontroli

parlamentarnej (poprzedni Sejm został rozwiązany wiosną przez prezydenta Wałęsę, nowy zaś został wybrany dopiero we wrześniu). Wołano, że ta umowa nakłada jakoby na Polskę ciężary finansowe i inne uzależnienia zewnętrzne (np. konieczność zmian w prawie wewnętrznym). W propagandzie koalicji po-PRL-owskiej nie rozległo się jednak **ani jedno** piśnięcie przeciwko umowie, którą — w tych samych warunkach co konkordat! — wynegocjował w Moskwie ten sam rząd! A była to właśnie umowa o rurociągu Jamał — Europa.

Jak bardzo niekorzystna okazały się umowy z Rosjanami o dostawę gazu, zawarte przez czworo kolejnych premierów, stało się szerzej znanym faktem dopiero w 1996 roku. *"Niedawno okazało się, że będziemy musieli zapłacić za rosyjski gaz bez względu na to, czy go zużyjemy, czy też nie. W dodatku tego gazu nie wolno nam wyeksportować."* (por.: Tomasz Sakiewicz **"Powrót do RWPG"**, **"Gazeta Polska"**, nr 48 z 28 listopada 1996 r., str. 9). Konkretniej: *"[...] w przypadku nieodbierania zakontraktowanej ilości gazu zgodnie z prawem międzynarodowym będziemy zobowiązani do zapłacenia do 70 proc. jego ceny."* (por.: **"Oddech Rosji na karku. Z Janiną Kraus [...] rozmawia Wiesława Mazur"**, **"Nasza Polska"**, nr 40 z 2 października 1996 r., str. 3). A nawet jeszcze gorzej: *"Ilość gazu zakontraktowana w umowie znacznie przekracza polskie potrzeby. Dodatkowo będziemy musieli płacić za cały sprowadzany gaz, nie zaś za jego ilość zużytą. Rosja będzie więc na nas zarabiać podwójnie: sprzedając innym odbiorcom gaz przez nas nie wykorzystany, choć zapłacony. My, nie mając prawa do reeksportu zakupionego gazu, nie zarobimy na tym interesie [...] ani złotówki."* (por.: Piotr Jakucki, **"W ręce Rosji"**, **"Nasza Polska"**, nr 40 z 2 października 1996 r., str. 1).

W kwestii groźby "zakręcenia kurka" z gazem przez Rosjan zwolennicy monopolu tego państwa na eksport gazu ziemnego do Polski do pewnego czasu twierdzili uparcie, że w takim razie Rosja zakręciłaby kurek naszym zachodnim sąsiadom, a przecież nie będzie chciała zrazić sobie tak bogatych klientów. Monopolista może w każdej chwili narzucić podwyżkę ceny, a nawet odmówić dostaw lub mocno je ograniczyć (w przeszłości to już zdarzyło się przynajmniej jeden raz, kiedy — z punktu widzenia Moskwy, rzecz jasna! — zaszła "potrzeba" przyciśnięcia rządu Jana Olszewskiego: *"[...] w styczniu 1992 r. [...] Moskwa bez uprzedzenia ograniczyła eksport gazu i ropy do Polski o prawie 85 procent."*, por.: Piotr Jakucki, **"W ręce Rosji"**, **"Nasza Polska"**, nr 40 z 2 października 1996 r., str. 1). Państwa Europy Zachodniej już wtedy importowały gaz ziemny z różnych źródeł, więc w nie to nie godziło tak bardzo. Tymczasem — zgodnie z intencją strony rosyjskiej — polskie *"rozmowy z Norwegami w 1993 r. zostały zaniechane"*, jak powiedziała posłanka Janina Kraus w cytowanym wywiadzie.

W powieści Larry'ego Bonda pt. **"Kociol"** (której oryginał i polski przekład ukazały się w roku 1993, a której akcja toczy się w końcówce lat 90. wieku XX), zaliczającej się do tzw. **political fiction**, jest mowa m. in. o wywarceniu takiego właśnie nacisku na Polskę ze strony Rosji (nacisku będącego zresztą po myśli Niemiec). Dodatkową ciekawostką tej powieści jest to, że autor nieomal przewidział nazwisko i nawet (choć z mniejszą dokładnością) lata urzędowania przyszłego — a obecnie już byłego — kanclerza Niemiec, którego odpowiednik w tej powieści (różnica tylko jednej litery) nazywa się **"Schraeder"**... W realnym świecie **Gerhard Schroeder** — i jako kanclerz Niemiec, i potem nadal — odegrał znaczną rolę w tej niekorzystnej dla Polski współpracy między Niemcami a Rosją.

W pierwszych tygodniach 2004 roku właśnie za sprawą Rosji nieoczekiwanie powróciła do publicznej debaty sprawa bezpieczeństwa energetycznego Polski. Premier

Leszek Miller sprawiał wrażenie, że zapomniał, co mówił na ten temat w 2001 roku. A mówił — na krótko przed tym, zanim został premierem — bardzo krytycznie o staraniach premiera Buzka o to, aby w kontaktach Polski z Danią i z Norwegią, powrócić do koncepcji budowy podobnych gazociągów z Norwegii przez Danię do Polski. Owszem, sugerował rurociąg, przekraczający granicę polsko-niemiecką, ale mówił o innym rurociągu, **Bernau** — Szczecin, mającym połączyć nas z tym systemem, którego źródło znajduje się na Półwyspie Jamalskim. Nagle (w 2004 r.) okazało się, że dla premiera Millera Rosja jest "nieobliczalnym" partnerem, że trzeba nagle wrócić do problemu "dywersyfikacji" zaopatrzenia w gaz, a nawet — do kontaktów polsko-norweskich! Nie uchroniło to tego polityka przed tym, że — jak 9 lipca 2004 r. napisał dziennik **"Życie"** — według ustaleń kontrolerów z Najwyższej Izby Kontroli to premier Leszek Miller i minister Marek Pol uzależnili Polskę od Rosji pod względem dostaw gazu... Nie było to nic odkrywczego, wystarczyłoby zajrzeć do publikacji wcześniejszej zaledwie o kilkanaście miesięcy — w tygodniku **"Nasza Polska"**, nr 12 z 25 marca 2003 roku na str. 1 ukazał się wywiad pt. **"Gazowy sabotaż [...]"** z posłem Zbigniewem Wassermannem, w którym tenże polityk na pytanie, dotyczące roli ówczesnej ekipy rządowej w kwestii negocjacji z Rosjanami na temat gazu ziemnego, wyraźnie powiedział, że *"Ten kontrakt (...) był od samego początku niekorzystny dla Polski"*. Fragment tu wykropkowany zawiera pełną nazwę i datę zawarcia najwcześniejszej umowy, tej z sierpnia 1993 roku.

Kiedy różni uczestnicy publicznej debaty na temat dywersyfikacji zaopatrzenia Polski w gaz ubolewają nad gazociągiem bałtyckim, że nie będzie przebiegał przez obszar Polski, zwykle nie dopowiadają wprost, co mają na myśli, a tylko z kontekstu należy domyślać się, iż wadą wynikająca z omijania naszego terytorium jest to, że nie będzie Polsce łatwo korzystać z gazu tamtędy pompowanego, a (być może to też mają na myśli?) na dodatek nie zarobimy jako kraj na tranzycie. Patrząc pesymistycznie na zagadnienie owych opłat tranzytowych, raczej w ślad za Elżbietą Isakiewicz (*"Afery, UOP, mafia"*, wydawnictwo "Antyk", Komorów 1993) obawiam się, że w związku z gazociągiem jamalski kolejne polskie rządy nie wynegocjowały należytych opłat tranzytowych. Kiedy narzeka się na gazociąg bałtycki, należy bardzo mocno podkreślać, że **główne jego wady z punktu widzenia Polski są dwie, ale inne**: 1) Rosjanie będą mogli zmniejszyć dostawy w jamalskim, zwiększając je w bałtyckim, a w ten sposób wywierać presję na Białoruś i Polskę, nie utrudniając życia odbiorcom położonym dalej na zachód, od Niemiec począwszy; 2) Rosjanie i Niemcy mogą nie zgodzić się, aby krzyżował się z nim gazociąg z Norwegii do Polski, którego na razie nie buduje się, a tylko bywa przedmiotem dyskusji, a na tę niezgodę Polska nic nie poradzi. Okazuje się, że Polska (i nie tylko ona) może zostać oskrzydłona także **od przeciwnej strony**. Jak bowiem stosunkowo niedawno można było przeczytać, *"Dzięki Włochom Rosjanie wezmą Europę Środkową w gazowe kleszcze. Razem zbudują gazociąg, który zablokuje dostawy do naszego regionu kaspijskiego i azjatyckiego gazu."* (por.: Andrzej Kublik, **"Gazowa oś Moskwa — Rzym"**, **"Gazeta Wyborcza"**, nr 274 z 23 listopada 2007 r., str. 30).

Wiara w "rynek wschodni"

Tendencje do wiązania gospodarki polskiej z rosyjską dotyczą nie tylko importu, ale także eksportu, są żywe w tych samych albo pokrewnych środowiskach politycznych (tzn. w tych, gdzie podtrzymuje się nostalgię za czasami **"komuny"**). Jeszcze podczas pierwszego rządu złożonego przez partie po-PRL-owskie wzmogły się sztucznie wznowione nadzieje na odbudowanie eksportu z Polski na obszar byłego **Związku Sowieckiego** (zwłaszcza do Rosji) i na poprawienie dzięki temu kondycji gospodarczej Polski. Przykładem takiej agitacji był wywiad prasowy Lesława Podkańskiego, gdzie jest mowa o szansach na odzyskanie przez

Polskę rynków zbytu na obszarze byłej **RWPG**. Z tym punktem widzenia polemizował wkrótce potem znany ekonomista, prof. Jan Winiecki ("*Mit »straconych« rynków wschodnich*", "**Najwyższy CZAS!**", nr 28 z 9 lipca 1994 r.), a później — innymi słowami — niemal dokładnie te same myśli wyraził red. Marek Arpad Kowalski ("*Mit wielkiego rynku*", "**Najwyższy CZAS!**", nr 4 z 27 stycznia 1996 r.). Zdaniem prof. Winieckiego i red. Kowalskiego siła nabywcza danego kraju to nie jest po prostu liczba jego mieszkańców, ale — ta liczba, pomnożona przez średni dochód na głowę mieszkańca. W takim zestawieniu Belgia i Białoruś, chociaż mają podobną liczbę ludności, nie są porównywalnymi partnerami gospodarczymi dla jakiegokolwiek eksportera — rynek białoruski jest od 35 do 40 razy mniejszy od belgijskiego (ba — nawet rynek rosyjski jest dziesięciokrotnie mniejszy od belgijskiego!), a ukraiński ma się do szwajcarskiego jak sześć do siedmiu. Godne uwagi jest to, że ich adwersarz Lesław Podkański jest absolwentem **Moskiewskiego Instytutu Przemysłu Gazowego i Naftowego**, a w owym czasie był ministrem współpracy gospodarczej z zagranicą w rządzie Waldemara Pawlaka. Nawet jednak Lesław Podkański zdawał się wyrażać niepokój z powodu braku dywersyfikacji zaopatrzenia Polski w gaz ziemny, bowiem powiedział: " *pewnego dnia możemy obudzić się w kraju, w którym nie zapali się ani jedna kuchenka gazowa*" (por.: Dariusz Kos, "**Rurociąg uzależnienia**", "**Lux**", nr 3 z 20 stycznia 1996 r., str. 22).

Konsekwencja w kierowaniu się tą nostalgią za **socjalizmem** i za **Wielkim Bratem** na wschodzie jest widoczna chyba szczególnie u stronictw, odwołujących się do elektoratu chłopskiego. Następca W. Pawlaka na fotelu premiera, J. Oleksy, tuż przed dramatycznym odejściem z tego stanowiska, przystał na zniesienie ceł ograniczających import zboża z krajów CEFTA. Ci, którzy uważają tę decyzję za złą (nie należę do nich!), nie atakowali szczególnie intensywnie następnego rządu (premiera Wł. Cimoszewicza) przez 22 miesiące jego istnienia żądaniem, by cofnął tę decyzję. Jednakże kolejny rząd (prof. Jerzego Buzka) nie zdążył "zaliczyć" nawet połowy owych 22 miesięcy, a już w lipcu 1998 r. miał do czynienia z potężną i gwałtowną demonstracją ludzi, zrzeszonych głównie w **Związku "Samobrona"** i niezadowolonych ze skutków decyzji tow. premiera Oleksego ze stycznia 1996 r. No, ale **JAK** można było być wyznawcą hasła "*komuno, wróć!*" i zarazem oburzać się na premierów z **SLD**? Na Oleksego? Na Cimoszewicza? Na Millera? Uchowaj, Leninie! "*Wielu ludzi chciało po prostu sprzedać suwerenność Polski razem z kartoflami. Oni myślą i chcą czynić (choć głośno o tym nie mówią) tak; żeby **Sowieci** kupili nasze kartofle, należy częściowo zrezygnować z naszej niepodległości.*" (Por.: "**Imperium kontratakuje – rozmowa z Grzegorzem Kostrzewą-Zorbasem**", w książce Jacka Kurskiego i Piotra Semki pt.: "**Lewy czerwcowy**", Éditions Spotkania, Warszawa 1993, str. 173.) Nawet niechby **Sowieci** kupili "na niby", byleby kupili... — chociaż ograniczenie suwerenności byłoby naprawdę, a nie "na niby". Podobnie zresztą jest z importem gazu z Rosji, co znakomicie wyraża już sam tytuł obszernego artykułu Marka Bućki i Rafała Drzewieckiego "**Gaz za niepodległość?**" ("**Najwyższy CZAS!**", nr 4 z 27 stycznia 1996 r., str. XV-XVIII).

Zakładając jednak nawet, że eksport do wschodnich sąsiadów odbywałby się rzetelnie, a nie tak, jak **fikcyjny** eksport 5 milionów ton ziemniaków w roku 1990 z Polski do **Związku Sowieckiego** za kwotę miliarda tzw. "rubli transferowych", to liczenie na tak ogromną chłonność rynku wschodniego jest niebezpiecznym złudzeniem! Według wspomnianej książki Elżbiety Isakiewicz (str. 20-22) aż 70% eksportu ziemniaków za 1990 rok było czystą fikcją, odbywającą się tylko na papierze, zresztą z przyczyn nawet technicznych (niedostatecznej przepustowości dróg komunikacji z Polski do **ZSRS**) nie byłoby możliwe przewiezienie do **ZSRS** aż tak znacznej ilości ziemniaków, jaką (rzekomo!) Polska do tego państwa wówczas wyeksportowała. Eksport i "eksport" ziemniaczany to tylko część tzw.

afery rublowej: w "czystej" postaci, tj. bez zwracania sobie głowy ziemniakami albo jakimkolwiek innym towarem, była możliwa w samych początkach lat 90. — spekulacja walutowa czyli szybkie zarabianie pieniędzy bez żadnego wysiłku produkcyjnego, bez inwestowania w jakąkolwiek produkcję! Wystarczyło kupić jednego "rubla transferowego" za 2090 "starych złotych", zamienić go na 1,56 dolara amerykańskiego, a potem (po kursie 9.500 "starych złotych" za dolara) otrzymać 14.820 "starych złotych", co dawało w złotówkach 609% czystego zysku! Dokładniej pisała o tym E. Isakiewicz w cytowanej wyżej książce na str. 53-54.

Chyba jednak niemało Polaków w kraju aż do dzisiaj wierzy, że to Polska sama zmarnowała swoje szanse na korzystanie z możliwości eksportu na chłonny rynek **sowiecki** (a potem – np. rosyjski) drażniąc Rosjan pretensjami o krzywdy niejako w ich imieniu wyrządzone Polsce w przeszłości. Tymczasem decydującą rolę w tym względzie odegrał dekret prez. Gorbaczowa, który nie był wymierzony specjalnie w Polskę, ale stanowił złamanie umowy zawartej na krótko przedtem przez wszystkie państwa członkowskie **RWPG**: *"[...] na sesji RWPG w Sofii w styczniu 1990 r. kraje członkowskie zapowiedziały przejście na płatności w twardych walutach z dniem 1stycznia 1991 r. Chodziło o tzw. clearing dolarowy, czyli towar za towar wyceniany w dolarach. [...] W listopadzie 1990 r. prezydent Gorbaczow niespodziewanie wprowadził dekret o płatnościach gotówkowych w twardych walutach w handlu z zagranicą, nie dopuszczając w ten sposób do clearingu dolarowego. Właśnie ten dekret spowodował całkowite załamanie eksportu do ZSRR. Z dnia na dzień okazało się, że tak »opłacalny« w 1990 r. eksport praktycznie od stycznia ustał. [...] Co ciekawe, Polska płaci żywą gotówką za import ze Związku Radzieckiego, a więc partner ma dolary, za które mógłby kupować u nas. Czyżby chodziło nie tylko o pieniądze? A może komuś zależy, by w Polsce dochodziło do strajków? A może chodzi o wymuszenie na naszym rządzie dalszego kredytowania Związku Radzieckiego? [...] Z Polski wywieziono więc setki milionów dolarów, w zamian napłynęły miliardy rubli transferowych."* (por.: Edmund Krasowski, *"Ruble za dolary. Jeszcze jeden obieg waluty, na którym traci państwo"*, **"Spotkania"** z 19 czerwca 1991 r., str. 26). Nie dlatego przestało się opłacać produkowanie z myślą o nabywcach ze Wschodu, że oni obrazili się na nas, lecz dlatego, że **"Wielki Brat"** dostrzegł dogodną okazję do wzmoczenia wyzysku "mniejszych braci". Decyzja dotycząca rozliczeń finansowych z satelitami zapadła bowiem wtedy, gdy prezydentem **Związku Sowieckiego** był Michaił Gorbaczow, a Polski – Wojciech Jaruzelski. Prez. Jaruzelski **nie** dążył do wyprowadzenia **Armii Czerwonej** z kraju, zresztą jego następca, prez. Wałęsa również: pierwszy w tej sprawie udawał neutralność, drugi zaś nawet po upływie pół roku od rozpoczęcia swojej kadencji wypowiadał się **przeciw** dążeniom do wyprowadzenia **Armii Czerwonej** z Polski. Twierdzić, że "nasz" premier Mazowiecki i "nasz" prezydent Wałęsa swoim antysowietyzmem popsuli eksport do wschodniego sąsiada i w ten właśnie sposób przyczynili się do zapoczątkowania kryzysu, bezrobocia i biedy w Polsce, to znaczy (co najmniej) paść ofiarą nieporozumienia.

Ostatnio takie myślenie było wzmacniane w związku np. ze sprzeciwem poprzedniego rządu polskiego (niefortunnie wycofanym przez rząd premiera Donalda Tuska) wobec przyjęcia Rosji do Światowej Organizacji Handlu. Szczególnie zaś w związku z tzw. tarczą antyrakietową. Może podobne straszenie polskiej opinii publicznej przed przystąpieniem Polski do NATO poszło już w zapomnienie? W latach 90. potrzeba było przełamywać obawy nie tylko na Zachodzie, ale także w Moskwie, która wówczas sam fakt przynależności swojego byłego satelity do przymierza północnoatlantyckiego przedstawiała jako zagrożenie dla niej samej. Przywołane wyżej publikacje z jesieni 1996 r. zawierają także informacje o rosyjskich pogroźkach, wymierzonych w aspirowanie przez Polskę do NATO. Teraz Rosja

twierdzi, że zagrożeniem nie jest przynależność Polski do NATO, lecz dopiero owe antyrakiety, mające stacjonować w Polsce, takowym się staną.

Wyborcy w 1993 r. masowo poparli partie po-PRL-owskie, traktując to jako głosowanie przeciwko Balcerowiczowi i przeciwko wszystkim zmianom od 1989 r. Uwierzyli w postkomunistyczne hasło przedwyborcze (jeszcze z 1991 r.), że *"tak dalej być nie musi!"*. W wyniku wyborów parlamentarnych powstał rząd premiera Pawlaka, który nominalnie był wspierany przez koalicję PSL i SLD, ale faktycznie także trzeciego koalicjanta, Unii Pracy, a to poprzez osobę min. Marka Pola, później zresztą lidera tej partii. Razem były to 303 (albo nawet 344) mandaty w Sejmie, większość wystarczająca do uchwalania zwykłych ustaw. Łącznie te trzy stronnictwa miały 65,9% czyli niemal dwie trzecie izby, co byłoby potrzebne dla odrzucania sprzeciwów Senatu albo Prezydenta (przynajmniej dopóty, dopóki nie został nim Aleksander Kwaśniewski). Czyżby jednak próbowano uchylić ustawy, nadające z dniem 1 stycznia 1990 roku bieg prawny tzw. *"programowi dostosowawczemu"* min. Balcerowicza? Jak wiemy, nie próbowano. Dlaczego? To temat na osobną, dość obszerną opowieść.

Cała sztuka w socjotechnice!

W zbiorowej (pod)świadomości narodu jest jednak obecne skojarzenie: po-PRL-owcy (PZPR i ZSL) są kojarzeni ze Wschodem: z ZSRS i potem Rosją, zaś posierpniowcy (tzw. solidaruchy) z Zachodem, z UE. Dlatego nic prostszego, niż odwołać się do tego odruchowego skojarzenia i je wzmocnić. To za rządu Włodzimierza Cimoszewicza (w lutym 1997 r.) uchwalono ustawę o kasach chorych, którą potem SLD zwalczał udając, jakoby to zwalczanie też należało do zapowiedzianego przed wyborami z 2001 r. przez Leszka Millera *"sprzątania po rządzie Buzka"*. Właśnie ta pierwsza po-PRL-owska koalicja (z lat 1993-97) uchwaliła możliwość eksmitowania lokatorów "na bruk", co "wrażliwym społeczeństwu" politykom tej niby-"lewicy" dało asumpt do ubolewania (podczas 4 następnych lat! – tj. kadencji rządu Jerzego Buzka) nad tym, jak to niewrażliwi są politycy "prawicowi", podczas gdy ludzie umierają z powodu zamarznięcia... To minister spraw wewnętrznych i administracji Leszek Miller w rządzie Włodzimierza Cimoszewicza przygotował projekt nowego podziału administracyjnego Polski, obejmujący przywrócenie powiatów i zmniejszenie liczby województw do 12 (a nawet mniej), potem jednak partie po-PRLowskie, przeszedłszy do opozycji, gorliwie zwalczały szczególnie właśnie tę liczbę województw, a to w imię koncepcji, zrealizowanych kolejno w Polsce Ludowej (PSL popierało pozostawienie 49 województw, SLD postulował przywrócenie 17 województw sprzed 1975 r.). Byłoby ludzie PRL wyszli na "cacy", a ludzie Sierpnia na "be"!

Jak na tle tej socjotechniki rozumieć słowa min Waldemara Pawlaka z 12 grudnia 2007 roku, sugerujące, że nie warto starać się o gaz z Norwegii: *"do sprawy energetyki trzeba podejść racjonalnie. – Potem może dojść do tego, że będziemy mieli więcej gazu niż go potrzebujemy"* (por.: <<http://www.tvn24.pl/0,1531974,wiadomosc.html>>)? A gdzie był Waldemar Pawlak, gdy w lutym 1995 r. Polska zawierała z Rosją kolejną z umów zapewniających nam nawet nadmiar syberyjskiego gazu? Był premierem i... to on ze strony polskiej to podpisywał! Teraz nie jest premierem, a "tylko" wicepremierem. Troszkę bardziej przekonująco brzmią przytoczone wyżej słowa Lesława Podkańskiego – te o obawie przed niedoborem (a nie nadmiarem!) gazu, a to dlatego, że ten polityk wówczas nie był już ministrem i (o ile wiem) nie pełnił żadnej funkcji rządowej.

Zdaniem takich speców od socjotechniki (a także – zwykłych obywateli, podatnych na nią) widocznie historia Polski zaczęła się w 1945 roku. Nie tylko, gdy chodzi o kryteria podziału terytorialnego. Zapewne na tej samej zasadzie dostrzegają "korzyści" z eksportu żywności z **Polski Ludowej** do **Związku Sowieckiego** (owe korzyści bynajmniej nie były takie oczywiste – za **komuny** powszechnie podejrzewano, że eksport do **wschodniego mocarstwa** jest nieopłacalny, powoduje niedobory na wewnętrznym rynku i stanowi raczej wymuszony haracz – ówczesna władza przeciwnie: lubiła podkreślać, że niedobory żywnościowe w Polsce są łagodzone... importem produktów rolnych z **ZSRS** do **PRL!**). Dobrobyt i mocna pozycja Polski w Europie to nie więzy handlowe w ramach **RWPG**, ani XIX-wieczny "handel z Rosją", symbolizowany przez literacką postać Stanisława Wokulskiego, a ćwierć wieku temu opisywany przez red. Józefa Kuśmierka w pozacenzuralnym obiegu, to eksport zboża w kierunku całkiem przeciwnym. Kiedy to było? W czasie naszego "**złotego wieku**", w czasach Zygmuntońskich, w XVI stuleciu. Ano, wtedy.

Toruń, 20 kwietnia 2008 r.